

Pokaż mi swoje notatki...

Jerzy S. Wasilewski

Rzadko zaglądam do swoich mongolskich materiałów terenowych. Niechętnie czytam siebie z tamtych czasów. Ciarki przechodzą mnie na myśl, że najstarsze zapiski mają 25 lat. Dzisiaj ja to ktoś inny. Lubię za to oglądać swoje zdjęcia. Tu nie mam kłopotów z identyfikacją. Na jednym – siedzę przed jurta i **zapisuję** to, co przez tłumacza objaśnia mi para starszych rozmówców; oboje w kapeluszach, z długimi fajkami w rękach. Na drugim – **opisuję**: klęczę przy kultowym stosie kamieni *owoo*, spisuję co się na nim znajduje – drobne obiekty ofiarne, teksty modlitewek. Na trzecim wreszcie – po prostu **piszę**: wieczorem, przy świeczce, wpisuję do zeszytu jakąś notatkę z minionego dnia. Leżę na ziemi, w rozchylonym połowym namiocie, nad głową mam surowy poćnięty mięsa – nasze ekspedycyjne pożywienie. Co piszę – jakieś wrażenia z dnia, impresje na temat pejzażu, luźne deliberacje na temat stosunku koczownika do przestrzeni?*

To chyba właśnie takie notatki miał na myśli Zbigniew Benedyktowicz, kiedy sugerował, by napisać o tym, co w materiałach terenowych może być **pisarskiego**, co jako „literatura” nie przedostało się do akademickich publikacji. Tym zamówieniem wkracza Redakcja w jeden z największych obszarów niedomówień, istniejący w naszej dyscyplinie – w sferę „tabu notatkowego”. Nie ma w naszym środowisku zawodowym zwyczaju pokazywania notatek z terenu. Nawet w trakcie ekspedycji mongolskiej robienie zapisków należało do tych nielicznych czynności, które staraliśmy się wykonywać na osobności. Jako student nie widywałem materiałów terenowych swoich nauczycieli, dzisiejsi studenci też ich pewnie nie oglądają – ja im w każdym razie swoich nie pokazuję.

Jest bowiem co ukrywać, nawet przed sobą samym. Błędy warsztatu, młodzieńcze naiwności, niedopytania, grafomańskie sformułowania. Z upływem lat narasta poczucie dysproporcji między wysokimi kosztami zdobycia materiałów a niewielkim ich wykorzystaniem, a także obawa, że to co pozostało nieopublikowane zmienia się nieuchronnie w makulaturę. Niejeden z nas przeżywa pewnie swoją wersję takiego oto koszmarnego snu: na sądzie ostatecznym staje w kornym pochyleniu przed Wielkim Ozyrysem, trzymając zwoje swych papirusów w rękę, a ten mówi doń: „Pokaż mi swoje materiały terenowe, a powiem ci, jakim byłeś etnografem”.

Moje materiały mają przeważnie postać zapisanych obustronnie (by wozić jak najmniej papieru w teren) arkuszy papieru maszynowego. Pisane są ręcznie ale czytelnie, długopisem i ołówkiem. Długopisem – a więc wyraźnie, trwale, „dla potomności” – pisane są wywiady i „obiektywne” opisy zjawisk etnograficznych: wesele, stypa, obchód w klasztorze; tylko to nazywam materiałami terenowymi. Ołówkiem zapisywałem luźniejsze obserwacje, własne refleksje i to czego byłem mniej pewien, co formułowałem „dla siebie”; to wszystko określałam jako „zapiski” czy „notatki”.

Nie mam poczucia, że tylko te pierwsze wykorzystuję w pracy naukowej, choć oczywiście do druku trafiały praktycznie tylko zawartość tej teczki. Zwłaszcza w dydaktyce jest miejsce na luźną relację, taką jaką została utrwalona w zapiskach, na pozaetnograficzną dygresję, anegdotę, szkic pejzażu. Ale czy to co

pozostałoby w notatkach, gdyby wykreślić z nich wszystko co wykorzystane w publikacjach lub ustnie upublicznione, to już tylko odpady, szlaka po wytopie cennego metalu? Warto może zrobić rachunek – co zostało **zgubione w notatkach**:

1. Po pierwsze, przemyślenia i wiadomości, które **spóźniły się do druku** – pojawiły się już po zakończeniu pracy nad publikacją omawiającą dany temat. Oto przykład takiego zapisu:

„Klasztor kobiecy Demczigijn chijt w somonie Chan-Bogdo w ajmaku południowogobijskim. Żyło w nim 108 *chandmaa* (mniszek), dla nich zbudował go w latach trzydziestych Nojontugt Rawdzaa, „piąty chubiłgan”, postać znana w ówczesnej Mongolii, intelektualista, pisarz, poeta, uczył naród, stanął na czele tego klasztoru. Mniszki obchodziły klasztor – zamknięty dla postronnych – w kierunku *pod stońce* [odwrócenie ogólnie obowiązującej reguły] co starszek rozmówca tłumaczył takim właśnie kierunkiem rozchodzenia się orgazmu po ciele kobiecym, w przeciwieństwie do kierunku u mężczyzny – *ze stońcem*.”

Nie jest to wypis z wywiadu; zapisałem go w luźnych notatkach, bo trafił mi się przypadkiem, z drugich ust, kiedy temat symboliki ruchu obrotowego miałem całkowicie opracowany i oddany do druku. Aż tu nagle, dzięki tej nieproszonej informacji, pojawił się dodatkowy wymiar – jego związek z parą pojęciową „męski-żeński”. Jak wszystko, z czym związany jest żal niespełnienia, tak i ten nieopublikowany zapis generuje ciągłą refleksję i nie ginie z pola uwagi – w odróżnieniu od takich zdobyczy terenowych, które petryfikują się po przetworzeniu w systematyczną wiedzę. Do dziś szukam więc lepszych wyjaśnień dla tego zwyczaju niż prosta asocjacja opozycji binarnych. Pytam, czy nie jest to fragment jakiejś chińskiej albo indyjskiej – taoistycznej czy tantrycznej – ezoterycznej wiedzy o ciele, o krążących w nim energiach. Zastanawiam się – i wpisuję to do aktualnych notatek – jak ta wiedza seksualna doszła do mongolskich pasterzy, nie mówiąc już o czcigodnych mniszkach.

2. Rozproszyły się po notatkach **sprawy wstydlive**. Najwcześniejszy taki szczerzy zapis powstał już w kilka dni po moim pierwszym wyjeździe w teren. „Widząc siedzącego przed jurta starszego mężczyznę, który heblował deskę, ofiarowuję się, że mu ją zhebluję – porwany myślą, że oto ja, przedstawiciel osiadłej cywilizacji mogę pokazać stepowcowi jak wygląda praca rzemieślnicza. Poheblowawszy chwilę, zadowolony oddaję robotę i wtedy zauważyłem, że na desce była dokładnie zaznaczona kreska, do której należało dojechać, a której tylko przypadkiem nie przejechałem. Facet coś pod nosem komentuje. Skądinąd hebelekacko, na pewno chiński, wążutki na 2 cm, z drzewa przypominającego mahoń.” Notatka ta upamiętniła moje zawstydzenie, że tak naiwnie rozumiałem słowa tych zwierzęcych lektur, którymi karmiłem się przed wyjazdem, wedle których kultura pasterska nie zna rzemiosł wytwórczych, ograniczając się do biernego wykorzystywania środowiska.

Wstydlivość niektórych zapisków bierze się z poruszanej w nich tematyki. Oto taki ołówkowy fragment o płakaniu zwierząt: „W porze *naadomu* [święto, którego składnikiem są wyścigi koni] stare konie, które kiedyś brały w nich udział przychodzą do koniowiazu przy jurcie, gdzie były trzymane przez 3-4 tygodnie przed biegami, żeby za dużo nie jadły, i płaczą [z tęsknoty za wyścigami]. Płacze też wielbłąd, umierający od pogryzień wilków, kiedy ludzie przychodzą dawać mu z litością karmić, a także wielbłądzica, szukająca w stepie małego, porwanego przez wilki”.

* Trzy powyższe terminy stanowią oczywiste nawiązanie – choć nie całkiem serio – do Cliffordowskiego rozróżnienia *inscription* – *transcription* – *description*. Patrz ważny artykuł w wartej polecenia publikacji: J. Clifford, *Notes on (field) notes*, [w:] *Fieldnotes. The Makings of anthropology*, ed. R. Sanjek, Ithaca and London (Cornell University Press) 1990

Są formułki przekleństw wraz z refleksją nad ich kulturową specyfiką. Np. przytaczając te zalecające osobie nimi obdarzanej obrażanej stosunek z matką (mong. *echee och!*) zastanawiałem się nad ich możliwym mitologiczno-Edypowym sensem oraz nad tym, dlaczego nie ma takiej propozycji w polszczyźnie, choć języki sąsiadnie i dalsze chętnie się do niej odwołują.

Jest zapis rozmowy na temat zarzynania barana – w typowo mongolski sposób, przez przerwanie aorty. Rozmówca śmiał się, wspominając instruktaż z broszurki dla pasterzy, opisujący to tak, że uśmiercenie zwierzęcia przypomina stosunek seksualny (pisk, ruchy wszystkich czterech kończyn, na końcu bezwładne opadnięcie). Notuję, że jest to dla mnie zbliżenie do problematyki podobieństwa seksu i śmierci, znanej mi dotąd tylko z *Modliszki* Rogera Caillois.

A skądinąd, z radością wpisałem dalszy ciąg tej kwestii w dwadzieścia lat później, do swych notatek z Kirgizji. Na wysokogórskich pastwiskach Tien-szanu brałem udział w święcie, na które zabijano konia. Pasterz-kołchoźnik opowiedział mi, że kiedy widział scenę zabijania owcy na filmie Michałkowa *Urga*, to wyciąganie okrwawionej ręki z wnętrzości zrobiło na nim wstrząsające wrażenie; natomiast kirgiskie podrzynanie gardła i spuszczenie krwi traktuje jako normalne, choć wie, że Mongołowie i inni byłiby pewnie zaszokowani.

3. Nie warto ukrywać, że spora część moich zapisków to słowotok, podejrzanej jakości **etnozofia** i **etnografomania**. To chyba normalny objaw okresu intelektualnego raczkowania: potrzeba wypisania się, usilne poszukiwanie własnych sformułowań w kwestiach elementarnych, dotąd poznawanych tylko pośrednio, przez lektury. Produkowałem więc sążniste deliberacje na takie tematy jak symbol, mit, mentalność, stosunek do przestrzeni czy „charakter narodowy” koczownika. Dziś traktuję tę domorosłą *Völkerpsychologie* jako nieuniknione penetrowanie granic naukowości, jako higieniczne uwalnianie się od takich natręctw nawiedzających etnograficzny umysł, które nie spełniają wymogów akademickiego dyskursu.

4. Są w notatkach **podróżnicze romantyzmy** – zdania, które można by przenieść do awanturycznej powieści o Azji Centralnej pierwszych lat XX wieku. Czasem zapisywałem je na końcu wywiadu, w którym padały, ale z reguły przenosiłem do własnych wieczornych zapisków. „Za jedno poroże jelenia chińscy kupcy płacili 24 cegły prasowanego czaju”. [...] Okolice Czandmani öndör [północna, tajgowa część Mongolii] – wizyta w domu myśliwego: slegowa chata, dach z płatów modrzewiowej kory, nad wejściem szczyka dzika, nad *chojmorem* [miejscem honorowym] łapa niedźwiadka z ziołami *altan gagnuur*, za slegami barania łopatka, *bagt* [kość piszczelowa]. Drewniane sprzęty, *archi* [wódka] nalewana z naczynia z kory brzozy (nie przecieka, pytałem). Półmrok XIX-wieczny, choć wszystko normalnie, bez jakiegokolwiek teatralnej egzotyki”. [...] „Baaka opowiada, jak jedzi z karawaną po zboże i broń dla chińskich kupców i swoich *nojonów* [feudałów] do Ałma-Aty, pędzili bydło jako zapłatę, droga trwała 3 dni” [...] „Sambuu mówi, że w jego klasztorze w Cecerlegu było przejście w ścianie jednej ze świątyń, przez które przechodzili pielgrzymi: w ciemnym pomieszczeniu pod ścianą jakby stół, pod nim dziura, przepętało się na kolanach albo na brzuchu. A kto był wielkim grzesznikiem tego ściana przyduszała, dlatego wszyscy się bali, kobiety w ciąży w ogóle nie przechodziły, on sam prześlizgnął się będąc dzieckiem”.

Są i opisy przyrody do takiej powieści – szkice stepowego i półpustynnego pejzażu, opisy wielokilometrowych przejazdów: „Trawa i trawa, rzędząca z każdym kilometrem na południe, dalej – żółto, to piasek ze zdrewniałymi roślinami, potem już prawie pustynia – skaliste góry z poprylepianymi do nich starymi piecami wapiennymi (poukładane bloki kamienne, wyglądają jak małe warownie). W wąwozie, zapełnianym jesienią przez sezonową rzekę, trafia się parę drzew saksaulowych, olbrzymich, suchych, kształtu baobabu. Sępy mają na nich gniazda, pod nimi powyjadane łupiny jeży. Drzew jest pięć czy sześć, odległych od

siebie o 100–200 metrów, na ich widok Mongołowie wołają las saksaulowy!, następna taka grupa będzie 40 km dalej, a jurty są jeszcze rzadziej”.

Czasem trafia się na ślady ludzi sprzed półwiecza: „Opustoszałe klasztorne miasto, rzędy glinianych domków wokół świątyni z wyprutym wnętrzem, lamowie dawno pouciekali, gobijski wiatr otwiera i zamyka okiennice, przykoczowała jedna jurta, koń stoi pod siodłem, ale gospodarza nie ma, wyszedł zostawiając otwarte drzwi jak to jest we zwyczajach na Gobi, byś mógł wejść jeśli potrzebujesz, a dalej jezioro z żurawiami jak z chińskich malunków, lazurowe [...]”.

Nie miałem zamiaru **pisać** powieści w stylu Ossendowskiego. Jeśli zbierałem takie zdania, to raczej dlatego, że będąc w Mongolii chciałem w takiej opowieści **żyć**. Jakaś część ekspedycyjnego bytowania dawała pożywkę dla młodzieńczo-romantycznych rojeń, wzorowanych na podróżniczych opowieściach. Mój osobisty orientalizm (robię tu oczywiście aluzję do Edwarda Saida i jego oskarżeń orientalistyki europejskiej o skrzywienie postawy poznawczej wobec Wschodu poprzez jego egzotyzację) żywił się wizjami stepu jako areny przygody – w końskim siodle, w karawanie, z berdanką w ręku.

Podobnemu kreowaniu rzeczywistości służył też inny, niewerbalny rodzaj notatek – zdjęcia. One również miały utrwalić w pamięci – a może wręcz uczynić składnikiem mego życia – wymarzony, półfikcyjny obraz Orientalnej Eskapady. Reżyserowane przeze mnie samego fotografie, na których przemierzam konno step, a trawy sięgają końskich brzuchów albo w tle widać ośnieżone szczyty Altaju to kreacja osobistego mitu Wielkiego Podróżnika, zaś te gdzie uczestniczę w życiu w jurcie – to przecież lekko pochlebiony portret Śmiałego Badacza.

5. Nie wszystkie notatki prezentują mnie w upozowaniu i w kostiumie. Jest w nich też **autorefleksyjne przedstawienie siebie wobec Innych**. Notuję własne reakcje – satysfakcję, zmęczenie, niezgodność rzeczywistości ze zmytizowanymi wyobrażeniami. Jest refleksja nad paradoksami poznawania kraju, gdzie trzeba pokonać tak wiele przestrzeni, dającej zero informacji, by nagle znaleźć się wobec niepojętego jej nadmiaru – natrafiwszy na opuszczony klasztor, którego ściany pokryte są niejasnymi symbolami, albo nawet jurte, równie gestą od symboliki. W afgańskim notatniku odnajdę szczegółowy zapis dwudniowego przejazdu przepelnioną ciężarówką przez góry Paropamisu, gdzie jako jedyny Europejczyk jestem kolejno obiektem wszystkich możliwych uczuć ze strony jadących. Podsumowuję słowami: „nachalstwo nużące o zacięciu pederastycznym”.

Etnograficzne spotkanie niesie radość, gdy trafia się na kogoś starego i mądrego, kto przedstawi swoją kulturę w jej najlepszym wydaniu. Bułgan – wizyta u trzech starsuszek, każdy z innej grupy (Torguci Wangijn i Belijn oraz Urianchaj), a mimo to wysokie poważanie, precyzja w podawaniu tabakierki i archi, kultywowana forma – nie bacząc na wieloletnią pewnie przyjaźń (...) Wiedza prezentowana w wywiadzie i potem, gdy każdy z nich wygłasza kolejno *jeröl* [toast] na moją cześć, dotykając głowy dłonią, żebym był mądrym i wielkim uczonym. Uprzejmość polegająca na godnym obniżeniu siebie, cofnięciu się do własnej (upozorowanej) niewiedzy (...) Im więcej jeździ się w teren, tym bardziej znika dysproporcja, niezgodność między systemem jaki tworzę sobie w gabinecie, w oparciu o lektury, a tą wersją jaka prezentuje się w żywym badaniu. Wiele zależy od informatorów, bo ci najlepsi, jak owi trzej starsuszkowie, dają poczucie ładu, a od złych wychodzi się z chaosem w głowie”.

Notuję swój entuzjazm, widząc jak precyzyjnie moi rozmówcy ustawiają kostki cukru, by pokazać jak układano trzy kamienie domowego ogniska. Podobnie zapiszę swoje wrażenia z tokijskiej giełdy rybnej, gdzie w nieprawdopodobnym młynie akcji jest miejsce na precyzyjne rozcinanie wielkich ryb, nożami długimi jak samurajskie miecze, w skupieniu godnym praktyk zen.

Od etnograficznego spotkania, przez pisanie o nim, aż po późniejsze odczytywanie i przeżywanie na nowo – gesty spłot męki i radości.